

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Swoje zainteresowanie nauką o informacji zacząłem pomniejszać po śmierci prof. Marii Dembowskiej, kiedy całkiem rozumną nazwę *dokumentalistyki* zastąpiono *informatologią*, z sukcesywnym coraz większym lekceważeniem bibliotekoznawstwa i bibliotekarstwa, a z czasem również przeważającej części informacyjnej praktyki. Użyteczność spadła do poziomu rzek podczas suszy, pojawiły się natomiast liczne teksty o niczym – z niewielkimi wyjątkami. U nas poza tym obrodziło opasłymi tomami o charakterze autotelicznym, które skupiły się na opisywaniu tego, czym zajmuje się ta dyscyplina.

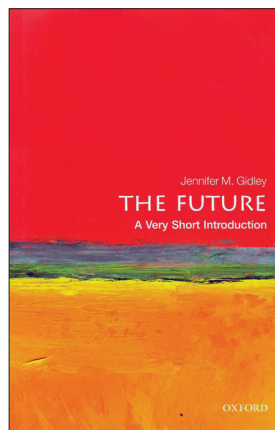
Jeszcze większe zamieszanie wprowadziły z czasem nieweryfikowane prognozy tworzenia *Artificial Intelligence* (pol. sztuczna inteligencja – AI) oraz przesadne radości z powodu postępującej automatyzacji procesów informacyjnych. Trudno to zrozumieć. Jeśli bowiem automatyzacja w ogóle służy różnym rozwiązaniom praktycznym, bo ułatwia i standaryzuje wiele czynności, to odnoszona do procedur intelektualnych, w tym informacyjnych, stara się redukować je do poziomu przełykania albo trawienia, zaś skomplikowane urządzenia przedstawia w ujęciu maksymalnie prostym. Co zaskakuje dodatkowo, ponieważ informatologia nie należy do rodziny dyscyplin inżynierskich, zatem w tych okolicznościach kwalifikuje się tam raczej do biernej obserwacji.

W świetle różnych sygnałów wygląda na to, że zapędziła się na jednokierunkową ulicę, która może prowadzić na zamknięty parking. Otóż to nie jest pomysł dobry, już nawet obecnie, nie mówiąc o ujęciu perspektywnym. Być może nie ja powinienem snuć takie niezbyt miłe refleksje, jednak ktoś musi. Dlatego powołuję się na innych i wybrałem do zasygnalizowania akurat takie teksty. Może ktoś zwróci na nie uwagę i zechce je przeczytać. Albo nie zechce, a jednak przeczyta. Dlaczego nie?

Jutro to już dzisiaj [*****]

Jennifer M. Gidley (2017). *Future. A very short introduction*. Oxford: Oxford University Press, pp. 164 s. ISBN 978-0-19-873528-1

Oto książka, która próbuje zdetonować albo przynajmniej pokruszyć, prognozy przyszłej egzystencji komunikacji: już to zmechanizowanej bądź w pełni automatycznej (zatem ekspulsji bibliotekarstwa też) – a zwłaszcza prognozy opanowania świata przez sztuczną inteligencję – które zawaładnęły potoczną propagandą medialną, ale również naukową, z udziałem nauki o informacji włącznie. Gdyby treść tej książki odnieść do najważniejszych, ściśle eksperckich, wypowiedzi na temat AI, to pozostaje ona stosunkowo bliska sceptycznie umiarkowanej refleksji prof. M. Boden, natomiast zachowuje duży dystans wobec apologetycznych dla AI, ale niekonsekwentnych, opinii prof. N. Bostroma¹.



¹ M. A. Boden (2016). *AI. Its nature and future*. Oxford: Oxford University Press; N. Bostrom (2016). *Superintelligence. Paths, dangers, strategies*. Oxford: Oxford University Press.

Autorką jest doktor psychologii **Jennifer M. Gidley**, adiunkt na University of Technology – Institute for Sustainable Futures – w australijskim Sydney i zarazem przewodnicząca *World Future Studies Federation*. Zaś do swoich zamierzeń używa wszelkich dostępnych narzędzi, od racjonalnej i dobrze udokumentowanej argumentacji dowodowej, poprzez dodatki demagogiczne oraz jeszcze złośliwości, starając się wyklarować mglisty pejzaż przyszłych nieuchronności.

Z tym, że argument główny jest nie do podważenia. Otóż my wszak nie wiemy w szczegółach, jaka ta przyszłość może być i będzie: to tylko antycypacja. Rzeczywistość jutrzejsza nie spadnie z nieba jak manna, trzeba ją dopiero wykreować, natomiast nie ulega **żadnej** wątpliwości, że nie istnieje wyłącznie jeden i jednolity jej wizerunek. Możliwości wariantywnych jest więcej niż dużo.

Tymczasem cierpimy na rozmaite fobie oraz utopie prognostyczne, przejęte z opowieści literackich, nieraz wstrząsających (teraz też filmowych i serialowych), ale przecież opartych na fantazjowaniu, zmyśleniach i fikcji. Czemu towarzyszą jeszcze przeświadczenia o linearnym rozwoju świata, konsekwentnie na mocy wynikania: przeszłość > teraźniejszość > przyszłość. Co da się zanegować w dowolny sposób – no bo niby dlaczego miałyby tak być – jakkolwiek niekoniecznie trzeba. Ale jeśli nie, to pozostaniemy na etapie utopii, który dominuje aktualnie w propagandzie obiegowej.

Bo też wyważona refleksja naukowa nad przyszłością, tak naprawdę ma krótką historię. Mianowicie samo pojęcie wyodrębnionej dyscypliny naukowej, **futurologii**, wylansował nie tak znów dawno niemiecki profesor **Ossip Flechtheim**, równoległe do powszechnie używanego określenia **prognoza**, a regularne studia akademickie nad przyszłością realizuje się mniej więcej dopiero od 50 lat. Wcześniej były swobodne dywagacje na temat samej AI. Natomiast luźne przypuszczenia iluminacyjne, jaka będzie przyszłość, pojawiają się od tysięcy lat, jednak stopień ich racjonalizacji był i jest niski.

Autorka przypomina, że ewolucyjne koncepcje rozwoju świata istniały od dawna. Wspierane świadomością upływającego czasu oraz intelektualną syntezą, układały się w wizerunki przyszłości, jednak zróżnicowane. I nadal tak jest.

Leonardo da Vinci, oprócz tworzenia modeli przyszłych urządzeń, miał pomysł na idealne miasta. Thomas More zapowiadał społeczeństwo wyżej ceniące wartości zbiorowe aniżeli indywidualne. Natomiast nutę optymizmu zamroził był Thomas Malthus, strasząc nadmiarem populacji na świecie. Te oraz inne niepokoje zostały potem podchwyczone przez teksty literackie i w końcu, zamiast techno-optymizmu, rozpowszechniły się rozmaite obawy. Nie lepiej uzasadnione logicznie niż oczekiwania pomyślności, lecz bardziej emocjonalne.

W racjonalnym podejściu przednaukowym wypracowano metodę **predykcji**, czyli statystyczny sposób wnioskowania o możliwych zmiennych w przyszłości, szacowanych na zasadzie prawdopodobieństwa. Ale, mówiąc po ludzku, to są tylko przypuszczenia, chociaż możliwie zrationalizowane i uporządkowane, w sumie jednak loteryjne. Początkowo, wychodząc z przesłanek pozytywistycznej jedności, zakładano tunelowe kształtowanie się przyszłości bezalternatywnej: jednej. Chociaż z próbami oderwania się od rozwojowego obrazu przeszłości, bo predykcja prognostyczna to nie historyczna. Ale dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia pojawiły się opinie, że wersje przyszłości mogą być rozmaite. Stąd określenie **futuribles** (ang. *possible futures*) – różniące się ponadto w odniesieniach globalnych od ewentualnie wytyczonych indywidualnie.

W niezbyt długim okresie refleksji **naukowej** nad przewidywaniem i kształtowaniem przyszłości wypracowano pięć kierunków prospekcji, niekoniecznie równoważnych, ale też niewykluczających się wzajemnie. Dominująca dotychczas i nadal szeroko akceptowana jest **ewolucyjna**, prosto rozwijowa koncepcja przyszłości, wywodząca się z jednoznacznych koncepcji pozytywizmu. To za jej sprawą prognoza *technologiczna* uchodzi za jedyną wartą zainteresowania. Wobec tego to ona wpływa zasadniczo na wizerunek przyszłego obiegu informacji oraz kształtuje niedobre prognozy dla bibliotekarstwa.

Z nieco bardziej krytycznej refleksji wywodzą się nastawienia na przyszłość **pożądaną** (jednak nie wiadomo: przez kogo) i na dostosowanie zmian do pojawiających się okoliczności. Istnieje również koncepcja, nie wiadomo dlaczego nazywana *kulturalną*, a przewidująca głównie rozwój industrializmu

i konsumeryzmu. Najbliższe idei bibliotekarstwa aktywnego wydaje się założenie **uczestniczącego** kreowania przyszłości, czyli zaangażowanego – w zgodzie z pojawiającymi się okolicznościami. A ponadto istnieje pomysł **integralny**, holistyczny: zebrania oraz implementacji wszystkich tych przesłanek razem, dla uaktywnienia. No i z tego miałyby się wyłonić ramowy zarys pejzażu przyszłości. Jaki? Tego na razie do końca nie wiadomo. Dlatego wszystkie wizje prognostyczne, zarówno apokaliptyczne, jak też nadmiernie radosne, nie mają w tej chwili poważniejszego uzasadnienia.

Jak stwierdziła przywołana (niestety, błędnie) w tej książce znana specjalistka, **Eleanora Masini**: coś się zmieni, bo zmienić się musi, ale także coś zmienić można i trzeba. Otóż nie brzmi to wystarczająco konkretnie, dlatego postępować trzeba bardzo ostrożnie. Natomiast nie ulega wątpliwości, że przyszłość rozpoczyna się już teraz. Dlatego od zaraz konieczny jest mądry namysł.

Tymczasem bowiem dokonano się gigantyczne zamieszanie. Opinie o przyszłej rzeczywistości, generowane głównie w trybie *iluminacji*, niewiele dostarczyły na jej temat argumentów **twardych**, rozmnożyły się więc przede wszystkim spekulacje, a w ślad za nimi następują ewentualnie przyszłościowe decyzje fragmentaryczne, podejmowane *w ciemno*. Wsparte medialną mitologizacją, w której (baśniowe) naddania supertechnologiczne roją się ponad miarę.

Gidley sarkastycznie wypowiada się o mocach *nadprzyrodzonych*, przypisywanych robotom i dronom, a przede wszystkim neguje rozdętą utopię sztucznej inteligencji. Która – nawiasem mówiąc – nie może być sztuczna: to oksymoron, jak zimne gorąco. Wmawianie wszystkim, że maszyny staną się intelektualnie sprawniejsze niż ludzie, to transhumanistyczny kit, obliczony na epatowanie niezwykłością. Z kolei nastawienia posthumanistyczne (są takie) przewidują ingerencje technologiczne w procesy nie tylko manualne, ale także intelektualne właśnie, w ramach idei perfekcjonizmu. W sumie zaś pomysł, że technologia rzeczywiście będzie w stanie wszystkim zapewnić wszystko co potrzebne, także w zakresie dostawy treści, opiera się na przesłankach irracjonalnych. Poza tym nic nie dokonuje się bez konsekwencji ani bezkarnie. Każde nowe narzędzie musi amputować jakąś czynność dotychczasową, bo nie byłoby nowe. Czy to zawsze dobrze? Holistyczny układ komunikacji publicznej i globalny obieg treści mogą świadczyć, że niekoniecznie.

Najbardziej autorkę irytuje, że, w myśleniu o przyszłości, technologiczne utopie całkowicie prześlониły odczucia humanistyczne. I namawia ona do sprzeciwu wobec cybernetycznej wizji rozwoju inteligencji, bo to nie znajduje żadnego solidnego wsparcia dowodowego. Bierze się zaś z mocno kontrowersyjnego przywiązania do bezalternatywnej, linearnej koncepcji dziejów, dopełnionej nastawieniem na industrializm. Otóż to jest tylko jedna z szeregu ewentualności prospektywnych, w dodatku stosunkowo słabo uargumentowana.

W autorskim ujęciu J. M. Gidley program pracy na rzecz przyszłości powinien być inny: łącząc ochronę wartości humanistycznych z rozumną mechanizacją (automatyzacją – w mniejszym zakresie) tego, co można i warto. Ale sam rozwój społeczny musi być wieloraki oraz proporcjonalny, w szerokim wymiarze: psychiczny, duchowy i estetyczny. Trzeba chronić odczucia, empatię, uczciwość, a nade wszystko dbać o stałe wzbogacanie świadomości. Natomiast przeciwstawiać się wszystkim zabiegom destrukcyjnym, zwłaszcza techno-utopijnym.

Maszyny są wyłącznie replikacyjne. Tylko człowiek ma ogromne i niedoszacowane możliwości rozwoju intelektualnego oraz kreatywnego. Jednak pod warunkiem aplikacji myślenia ponadformalnego i nawet paradoksalnego, z wykorzystaniem intuicji, wyobraźni, jak też twórczej relatywizacji.

Na razie wygląda na to, że prawie wszyscy czują respekt przed przyszłością i różnymi z jej strony zagrożeniami. Oczywiście: nie można z góry wykluczyć najrozmaitszych kryzysów i na ogół trudno je przewidzieć. To w każdym razie nie znaczy, że na pewno ich nie będzie. Otóż zapobieganie przedzające polega na kreowaniu społecznego **pożytku**, choćby przez dobrze zorganizowane i produktywne rozpowszechnianie użytecznych informacji, jednak oparte nie tylko na transmisyjnej mechanizacji, lecz w równym stopniu na czynniku ludzkim.

Gidley nie opowiada bajek i nie sugeruje, że wszystko zrobi się samo. Bez dobrego przygotowania nie uda się nic! Obecnie fundament preparacyjny wyznacza edukacja: szkolna i poszkolna. Jeśli jednak

realizowana w trybie niby zmodernizowanym, czyli mocno digitalnym, to tylko udaje modyfikację. Serwowane treści są ciągle te same, tylko inaczej opakowane. Właśnie tak, imitacyjnie, wygląda pseudouniwersalny program kształcenia UNESCO *Education for All*, w istocie wyzuty z rozwiązań perspektywnych. Mamy zatem do czynienia nadal z *futuribles*. Które trzeba starannie przemyśleć, unikając błędów. Nic nie jest jeszcze przesądzone.

Infoignorancja

Tom Nichols (2017). *The death of expertise*. New York: Oxford University Press, pp. 252. ISBN 978-0-19-040911-2

Pomimo rozmaitych złośliwość i nieco demagogicznych komentarzy, szczególnie w odniesieniu do sztucznej inteligencji oraz do stechnicyzowania przyszłej rzeczywistości, na ogół J. Gidley utrzymała się w tonacji obowiązujących kanonów dyskusji naukowej. Natomiast nie przejął się nimi nadmiernie Tom Nichols, profesor Naval War College oraz Harvard Extension School w amerykańskim Cambridge (Newport). Nie dość, że papla i gaduła, to jeszcze – jak przystało na wykładowcę wojskowej szkoły morskiej – dokonał zmasowanego ataku rakietowego na cały obecny system komunikacyjno-informacyjny, osiągnąjąc spustoszenie wręcz apokaliptyczne. A co najdziwniejsze: często w tych swoich szarżach ma rację albo jest tej racji bliski. Na pewno nie wszyscy się cieszą.

Nichols uważa mianowicie za kompletną bzdurę całą tę gadaninę o populacji informacyjnej oraz o społeczeństwie, rzekomo opartym na wiedzy. Żadnej wiedzy nie ma, więc na czym się tu opierać? Wprawdzie nie napisał tego wprost, ale postrzega jedynie społeczeństwo oparte na ignorancji.

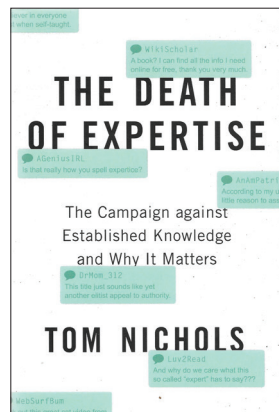
Dzisiaj każdy, kto nabył klawiaturę i wtyczkę do sieci, doskonale wie, jak zbawić świat oraz co pomaga na odciski, a także jak zwrócić Krym Ukrainie, mimo braku orientacji, gdzie ta Ukraina leży. Jednocześnie na uczelniach młodociani faceci z laptopami instruują profesorów, czego mają uczyć i jak, bo skoro masz laptop, to wiesz lepiej niż oni. Wprawdzie wciąż jeszcze, przez nieuwagę, nazywa się profesorów ekspertami, lecz wszyscy boczą się na nich, oburzają i uważają za przemądrzałków, przecież każdy sam wie wszystko lepiej. Stąd taki a nie inny tytuł opracowania. Zmierzch epoki ekspertów sugerowali zresztą również R. i D. Susskindowie w bardzo głośnej książce bestsellerowej².

Aktualna zaś sytuacja jest taka, że każdy czegoś nie wie i wszyscy są z tego niebawale dumni. Króluje zadufanie, narcyzm oraz bezgraniczna pewność siebie.

Nichols uważa, że serwowana przez sieć stechnicyzowana kultura jest jeszcze gorsza niż faktyczna ignorancja. Internet serwuje bowiem wiedzę pozorną, a więc dezinformuje, zamazując informację rzeczywistą. Stwarza mit równości wszystkich w zakresie wiedzy, toteż każdy wypowiada się autorytatywnie na dowolne tematy, w przeświadczeniu o własnym znanstwie. Uważając jednak za wiarygodne wyłącznie to, co jest zgodne z indywidualnym przeświadczeniem.

Każdy zatem wie wszystko, każdy zna się na wszystkim i wygląda na to, że każda opinia może uchodzić za równowążną innym. Wobec tego wypowiedzi eksperckie tracą na znaczeniu i zamierają: mało kto chce ich słuchać. Oczywiście eksperci też myślą się niekiedy, ale to są raczej odstępstwa od reguły, aniżeli zdarzenia dominujące. Jakkolwiek z kolei istnieje też nadmierne zadufanie eksperckie: kiedy znawcy, wiedząc *coś o czymś*, mają przeświadczenie, że wiedzą *wszystko o wszystkim*.

W ogóle nadmierne mniemanie o sobie oraz o swoich kompetencjach przybrało rozmiary epidemii. Niby bowiem poprawiło się kształcenie, lepszy jest podobno dostęp do informacji, a media rzeczywiście



² R. Susskind, D. Susskind (2017). *The future of the professions. How technology will transform the work of human experts*. Oxford: Oxford University Press.

stały się ogólnodostępne. Ale w rezultacie to pogorszyło wymianę opinii oraz spłycało dyskusje: są kłótnie, zamiast dialogów. Opiniodawcy upierają się przy stanowiskach bezdowodowych, przyjętych na wiarę, a w stosunku do kontrowersji mnożą się zarzuty oraz teorie spiskowe.

Nichols rozszalał się szczególnie, opiniując obecne studia wyższe, które jego zdaniem uległy deprecjacji za sprawą ich urynkowania oraz w następstwie przyznawania studentom racji na każdym kroku. To są bowiem teraz klienci, wnoszący do uczelnianych biznesów to, co tam najważniejsze: opłaty. W nastawieniu na pozyskiwanie środków, uniwersytety akceptują byle co – zdevaluowała się już sama uczelniana profesja. Natomiast utrzymał się mit wartości wyższego wykształcenia. Absolwenci uważają się za świetnie wyedukowanych i nikogo nie interesuje, że nikt ich nigdzie nie wdraża do myślenia krytycznego.

Nie bez racji dodaje też – u nas również to widać – że w uczelnianych relacjach zaczynają przeważać odniesienia mailowe. Niby to nic złego, ale w następstwie pojawia się przekonanie, że wykładowcy oraz studenci są w zakresie wiedzy równi. Poza tym studenckie oceny wykładowców, sformułowane anonimowo i schematycznie, dewaluuja studia: mają wszak oświecać profesorów! Oraz pod takie dyktando ma też miejsce modyfikacja i przebrzmowanie programów nauczania. W rzeczywistości zaś okazuje się, że to jest „smutny kit”.

W aranżowanych niby dialogach pojawiają się nerwowe sondaże akceptacji: jak bardzo lubisz swoje studia bądź jak bardzo ich nie lubisz. Uczelnia upodabnia się więc do restauracji. Także rozpoznanie studenckiej aktywności nie jest budujące. Ujawniają się przywary, jakby zachowane sprzed stu lat: nietolerancja, dogmatyzm, a nawet przemoc, to atrybuty częste, jeśli nie powszechne. W związku z taką wylizanką, nie nazwałbym autora przyjacielem studentów.

On zresztą sieci również przyprawia kły – czasami zasadnie, a niekiedy nie. W Internecie, zdaniem wielu, jest wszystko o wszystkim; nie ma tam kwestii nierozwiązywalnych. No to po co pytać ludzi, wszak często omylnych, skoro można przepytac komputer? W rezultacie każdy uważa, że coś wie, ale to są głównie dyrdymały (półdyrdymały?) z Wikipedii. Czyli to jest komunikacja instant, w której na dodatek anonimowość lokuje wszystkich na tym samym poziomie ignorancji.

W zapale inwektyw, Tom Nichols sam wpada w pułapkę pustostłowa. Powiada mianowicie, że jakoby już **Theodore Sturgeon** ponad sto lat temu sugerował, że 90% całej naukowej wiedzy to śmieci. No więc bajdurzy. Przywołany w ten śmieciowy sposób został szwajcarski profesor chirurgii, który naprawdę nazywał się **Theodore Billworth** (1829–1894) i nie ma żadnego dowodu, żeby twierdził właśnie coś podobnego, ani że był w takiej opinii kompetentny. Chirurg to chirurg – nawet jeśli bardzo dobry³.

Mój pogląd w tym zakresie jest taki, że jeśli ktoś chce krytykować czyjś dorobek naukowy, to powinien przedtem sam sobie narzucić rygory wiarygodności, ujawniając starannie kto, gdzie i co napisał albo powiedział. Bez tego tworzy się plotkarnia. No i Nichols w czymś takim uczestniczy.

Owszem: media potrafią każdemu wcisnąć dowolny idiotyzm, zatem ogłupiają. Ale **też**, a nie **wyłącznie** – nie da się uogólniać bezwarunkowo. Szczególnie dają popalić niekompetentne medialne dziennikarstwo, oparte w Internecie głównie na beztreściowym klikaniu. Zaś odbiór jest taki, że każdy wierzy w to, co odnotowuje i widzi. Tak utrwała się ignorancja.

Nichols nie ma wątpliwości, że obiegu informacji (treści) nie można rzucić na żywioł i pozostawić samemu sobie. Pośrednictwo musi być: koniecznie biblioteczne i mądre. Ale jak je zorganizować, zapewnić oraz wykorzystać – o tym już nie dopisuje ani słowa. Ucieka w ogólne określenie **eksperti** – lecz ich charakterystyka jest w książce mętna.

³ T. Nichols odwołuje się do tzw. prawa Sturgeona (ang. *Sturgeon's Law*), tj. aforyzmu, według którego większość każdego opublikowanego materiału, wiedzy, a najogólniej – wszystkiego, jest bezwartościowa (zob. np. Oxford Dictionaries, <https://www.oxforddictionaries.com/>). Wyrażenie tego poglądu przypisuje się amerykańskiemu pisarzowi i wydawcy fantastyki naukowej, Theodorowi Sturgeonowi (1918–1985, właśc. Edward Hamilton Waldo), którego powieści tłumaczone były również na język polski; miał on stwierdzić, iż „90 per cent of everything is crap” [red.].

Eksperci nie zawsze przyznają, że czegoś nie wiedzą, także myślą się niekiedy i zresztą mają do tego prawo – byle nie za często. Niepewność jest integralnie wpisana w strukturę poznania, materia badań ma ograniczenia, toteż ostrożność konkluzyjna stanowi warunek pierwszy. A czy w każdym wypadku przestrzegany? Główna zasada nauki: powtórzenie procesu dociekań z tym samym rezultatem końcowym – nie zawsze daje się spełnić, a jeżeli nawet, to przeważnie z ogromnym trudem. Występują też błędy metodologiczne; niekiedy ustalenia z jednej dyscypliny bywają bezzasadnie implementowane do innej, a bywa i tak, że, zamiast objaśnień zjawiska, pojawiają się gołosłowne sugestie. Żeby już nie wspominać o udawaniu kompetencji oraz o zamierzonych fałszerstwach, których trochę jest. Życie naukowe to też przecież życie.

Mimo wszystko, bez ekspertów świat nie da sobie rady, trzeba ich zatem ogólnie akceptować, natomiast uważniej patrzeć na ręce. Bądź co bądź są tylko doradcami, a nie decydentami. Jednak publiczność, zauroczona siecią i zadufana w sobie, bardzo ekspertów nie lubi. Podtrzymywana w tej swojej niechęci przez szkoły, które wmawiają młodzieży, że najważniejsze są jej **odczucia**, a jeszcze bardziej przez media, gdzie zamiast sygnalizacji co jest ważne, padają pytania: czego ludzie chcą się dowiedzieć. I potem pojawiają się byle jakie odpowiedzi.

Trudno byłoby ukryć, że wywody Toma Nicholasa nie zawsze są na profesorskim poziomie. Mimo to częściej ma jednak rację, aniżeli jej nie ma. Natomiast niekiedy dostosowuje się stylistycznie do – bardzo od naukowości odległego – stylu argumentacji okołoinformacyjnej, promedialnej i ogólnokomunikacyjnej. Dla polemiki, a także dla rozbudzenia wątpliwości, to może być tryb użyteczny. Natomiast dla ustalenia całej prawdy i wyłącznie prawdy, to chyba jednak nie wystarczy. Przydałoby się stanowisko bardziej eksperckie. Ponieważ na razie wobec pytania o granice między ignorancją a rozeznanie, kompetentna odpowiedź nie pada.

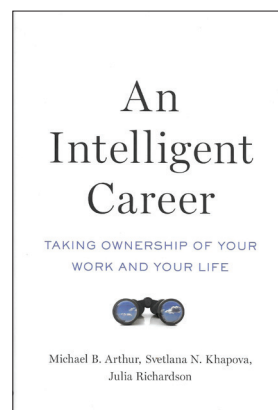
A jednak: pochwała intelektu [****]

Michael B. Arthur, Svetlana N. Khapova, Julie Richardson (2017). *An intelligent career. Taking ownership of your work and your life*. New York: Oxford University Press, pp. 264. ISBN 978-0-1904-94131

Trudno naukowe wydawnictwa szeregować w rankingowych tabelach, jak piłkarskie kluby, ale oczywiście są wśród nich firmy lepsze i gorsze, świetne oraz beznadziejne. Oxford University Press (UOP), z siedzibami w różnych punktach świata, jest jak futbolowy Bayern Monachium. Zdecydowanie dba o wysoki poziom treściowy, chociaż zdarzają się pojedyncze wpadki. Zakres tematyczny oferuje niebywały oraz rozpowszechnia w każdy obecnie możliwy sposób, więc przez publikację drukowane, cyfrowe i hybrydowe czasopisma. Marka OUP ma swoją wartość.

To jest także wydawnictwo, które nabywcę traktuje jak mało kto, mianowicie poważnie. Oferuje dobrą informację oraz promocję niezbyt nachalną, ceny są (powiedzmy) znośne, a transakcje niekłopotliwe, zatem jako taki komfort jest. Będąc klientem OUP od wielu lat, opinię wystawiam korzystną. Dla porównania: wielu innych naukowych edytorów zachowuje się rozmaicie, czasami wręcz po bandycku – bywa, że nóż sam się otwiera w kieszeni.

Poza tym ma ta oficyna ciągoty ku półnaukowej popularyzacji różnych obszarów wiedzy i radzi z tym sobie skutecznie. Otóż właśnie: w niejkiej kontynuacji poprzednich, przywołanych tu wypowiedzi, pojawiła się tam książka o charakterze doradczym – namawiająca do wysiłku **intelektualnego** oraz do skupienia się na indywidualnym rozwoju umysłowym i zawodowym. Motywująca **każdego**. Na przekór całej tej paplaninie o przyszłej mechanizacji życia i sztucznej inteligencji.



Szkoda tylko, że nie obeszło się bez gadulstwa i rozmaitych uproszczeń. Każdy zakres książkowych roztrząsań – a jest ich kilka – poprzedza swoista przypowieść bajkowa, nieraz tak infantylna, że chce się wyć. Ale potem skojarzenia z kierunkowymi dyrektywami uzasadniają się nie najgorzej. A zmierzają do wmówienia wszystkim, że pieczę nad swoją zawodową karierą i nad własnym życiem najlepiej powierzyć samemu/samej sobie.

Nie wszystko w tej książce jest rzeczywiście odkrywcze, lecz czy musi być? Są powtórzenia rozmaitych porad pradawnych i dawnych, ale są również dodane nowe, podpowiadające jak racjonalnie oraz skutecznie kształtować swój własny rozwój. Z czym, gdzieś na marginesie, kojarzy się również wsparcie biblioteczne. A nad całością góruje pochwała **inteligencji**, pojmowanej jako zdolność opanowania i zrozumienia rozległej wiedzy oraz umiejętności uczenia się nowych treści. Przez ludzi, a nie przez cyborgów.

Autorski skład jest w tej książce barwny oraz globalny, właśnie na miarę OUP. Oto prof. **Michael Arthur** z Suffolk University w amerykańskim Bostonie, znawca problematyki zarządzania. Oraz prof. **Svetlana Khapova** z Vrije Universiteit w holenderskim Amsterdamie: zajmuje się organizacją. A do tego prof. **Julia Richardson** z Curtius Business School w australijskim Perth – wyspecjalizowana w zakresie kierowania ludźmi. Oczywiście taki globalny triumwirat dało się stworzyć tylko za sprawą relacji sieciowych. Czy ja mówię, że nie?

Razem stworzyli pożyteczny oraz ciekawy podręcznik, nawet jeżeli miejscami nafaszerowany trywialnościami, a niekiedy nie brak tam również naiwności. Ale ogólnie – tak wyobrażam sobie produktywny serwis informacyjny. Przy czym zdecydowanie ukierunkowany humanistycznie: bez leżenia płackiem przed technologią. Mianowicie cała trójka autorów nie ma wątpliwości, że również w przyszłości leczycy nas będą lekarze, a nie ślusarze, bądź mechanicy.

Zdaniem autorów obecnie rosną możliwości podjęcia pracy wysoko kwalifikowanej. Akurat takiej sugestii nie sformułowałby Tom Nichols, ale być może oni znają się na tym lepiej. Jest bowiem taka dopowiedź, że teraz firmy nawet same szykują i przygotowują pracowników do nowych kompetencji. Projektują odpowiedni nabór, a potem sprzyjają rozwojowi umiejętności. A skoro tak, to trzeba stosownych okazji szukać. Oczywiście że – jak napisano – także przez sieć. Ale być może kompetentne pośrednictwo bibliotek też byłoby szczególnie pożądane.

W takich okolicznościach, zabiegając o dobrą pracę, trzeba o sobie wiedzieć możliwie dużo i potraktować tę orientację jako azymut kierunkowy. Skojarzyć z tym, czego potencjalny pracodawca oczekuje, w myśl zasady podwójnej lojalności: wobec siebie i swoich zamierzeń oraz wobec wybranego pracodawcy i jego zadań. Niekiedy to nie jest możliwe albo z czasem przestaje być możliwe. No to wtedy trzeba zmienić otoczenie.

Autorzy odnoszą się oczywiście do edukacji (to istotny powód dla sygnalizowania tutaj tej książki) jako głównego narzędzia dostarczania treści informacyjnych oraz nabywania umiejętności, jednak czynią to dosyć schematycznie. Są mianowicie bezgranicznie przychylni nowym ofertom kształceniowym, w tym również sieciowym oraz zautomatyzowanym i sugerują (niekoniecznie w zgodzie z prawdą), że teraz w nauczaniu zaczyna przeważać nastawienie na uczących się, a nie (jak dawniej) na nauczających. Jak tu zasygnalizowałem, T. Nichols ma na ten temat całkowicie odmienną opinię i trudno odmówić mu racji: dobrze nie jest.

Zresztą w tej książce również znalazła się garść ostrzeżeń. Choćby przestroga, że samo przyjęcie informacji to jeszcze nic nie jest, trzeba bowiem opanować umiejętności procesualne, a zatem nieodzowna bywa praktyka wykonawcza, możliwa dopiero u pracodawcy. Tam więc ma miejsce finalizacja, lub dalszy etap, uczenia się i trzeba to wykorzystać dla własnego rozwoju, również intelektualnego. W tym zakresie autorzy nie trzymają się zresztą technoutopijnej apologii, lecz podkreślają wartości ludzkiego myślenia.

Takie proedukacyjne opisanie pracodawców oraz firm zatrudniających tworzy wokół nich klimat sprzyjający. Autorzy są zdania, że dokonało się znaczne ucywilizowanie rynku pracy wykwalifikowanej. Nie ma już – podobno – dawnego drenażu mózgowi ani kaperowania geniuszy, natomiast ukształtował się model cyrkulacji wiedzy pogłębionej. To znaczy firmy **wspólnie** inwestują w ośrodki

profesjonalnego (w istocie eksperckiego) doskonalenia, a później korzystają razem z rezultatów. Co zresztą wymaga skoordynowanego systemu informacji, lecz o tym nie ma w książce ani słowa.

Nowość polega na tym, że oto powstały specjalne obszary wysoko kwalifikowanego kształcenia. W Stanach Zjednoczonych istnieje **Silicon Valey**. W Europie Zachodniej natomiast – obszar od Manchesteru i Londynu, przez Brukselę i Zurich, aż po Mediolan. No i w tamtejszych ośrodkach właśnie wylawia się specjalistów co lepszych, a zwłaszcza lepszych z najlepszych.

W ślad za takim sposobem edukowania samodzielnych (do pewnego stopnia) w istocie ekspertów, zmienia się częściowo forma zatrudniania. Coraz więcej osób, tak właśnie przygotowanych, podejmuje pracę w trybie **kontraktowym**, jeżeli tylko to jest możliwe. Pozostają więc z pracodawcami tylko w ogólnej relacji pracobiorczej, natomiast większość lub wszystkie powinności realizują na własną rękę, często poza biurem, w samochodach, na parkingach i w ogóle w ruchu. Ceną jest wzmożony stres, wyczerpanie oraz poczucie intensywnej eksploatacji, lecz odwrotu nie ma.

W takich okolicznościach rzeczywiście wzrasta niepomrotnie rola Internetu jako narzędzia nie tylko łączności, lecz i wykonawstwa. Ale wobec tego można również wyobrazić sobie powinność sieciowego wspierania zawodowego ekspertów i wykwalifikowanych agentów ze strony **bibliotek** – w zakresie doradczym oraz pośrednictwa, a nawet do pewnego stopnia stabilizacyjnym. Jednak takich inicjatyw nie zauważyłem.

Autorzy zwracają też uwagę na zasadnicze zmiany w obecnej praktyce wybierania profesji, zwłaszcza przy założeniu długotrwałej kontynuacji zawodu. Kiedyś było tak, że dzieci przejmowały zawód często po rodzicach, a niekiedy także ich firmy, bez szczególnego namysłu: po prostu kontynuacyjnie. Obecnie tak nie jest lub jest bardzo rzadko. Konieczna więc bywa staranna samoanaliza – rozpoznanie cech własnych, w zestawieniu z charakterystyką przewidywanej specjalności zawodowej do podjęcia.

W tekście pojawia się sugestia praktyczna. Zastanów się szczegółowo, jaki/jaka jesteś i poszukaj (zdaniem autorów: tylko w sieci – i to uważam za grubą błąd) ofert pracy, które dają się z tym kojarzyć. Rejestr wariantów analitycznych wygląda znajomo, wręcz nawet stereotypowo; nie widzę w nim nic nowego, co zresztą nie znaczy, że jest do luzu. Jaki umysł: praktyczny, analityczny, kreatywny, kooperacyjny czy kompetencyjny? Hm. A jak wszystkie razem? Zwłaszcza, że taka klasyfikacja nie pochodzi z najwyższej półki teoretycznej. Oraz jakie przeważają nastawienia własne – głównie na siebie bądź również na innych lub ogólnie elastyczne. Następnie zaś trzeba porównać te swoje inklinacje, z tym czego potencjalny pracodawca oczekuje.

Z wyborem miejsca pracy można trafić dobrze albo mniej dobrze, bądź w ogóle kiepsko, dlatego nie należy decydować o tym w ciemno. Potrzebna jest informacja o rodzaju pracy i o pracodawcy, ale na taką natrafić trudno, dominuje bowiem kamuflaż, w sieci dodatkowo wzmożony, bo poza kontrolą. Natomiast kiedy już zapadnie decyzja na tak, to trzeba jeszcze rozliczyć się z własnych intencji. Czy popracujesz głównie dla zarobku, czy dla instytucjonalno-strukturalnej kariery oraz awansów, czy też przede wszystkim dla spełnienia siebie. Każdy z tych kierunków wymaga nieco innego podejścia, chociaż można założyć sobie wszystkie trzy razem, jakkolwiek realizacja nie jest wtedy łatwa.

Taka autoanaliza ma sens również dlatego, że ambitni i wymagający pracodawcy coraz częściej testują kandydatów i szukają wśród nich osób najszybciej. Można z tego skorzystać też dla celów własnych, ale przede wszystkim pokazać się w świetle możliwie korzystnym – jeżeli ma miejsce wcześniejsze przygotowanie. Potrzebna jest zatem inwencja i kreatywność.

Na to, co człowiek może wnieść do procesu pracy, składa się wiedza nabyta, przetworzona w umiejętności – z wykorzystaniem doświadczenia oraz obserwacji innych (w tekście przesadnie uwypukla się ogląd sieciowy). Oryginalne rozróżnienie polega na tym, że mowa o koniecznym opanowaniu umiejętności w trybie **twardym**, zwartym – mianowicie technologicznych i analitycznych. To jest konieczne, ale nie wystarczy. Istnieją bowiem również kompetencje **miękkie**, określane inaczej jako inteligencja emocjonalna – tym bardziej niezbędne do opanowania. No i tego nie da się osiągnąć w trybie sieciowym, ani tym bardziej automatycznym, bez wsparcia przez mediacyjnych, ale **żywych** pośredników profesjonalnych.

W sumie wydaje mi się, że autorzy w życzliwości dla sieci zachowują jednak umiar i konieczny rozsądek. Proponują rozpoznanie tam ofert pracy oraz zawodowych opinii rozmaitych osób – z przyrównaniem do własnych umiejętności oraz inklinacji. To, z grubsza biorąc, jest sensowna porada: przemyślenie ewentualnego azymutu zawodowego. Natomiast napisano też wyraźnie, że **relacje** sieciowe są (jednak!) iluzoryczne. Jest wśród nich szansa **ogólnego** rozpoznania innych oraz **wstępnej** prezentacji siebie, lecz niewiele więcej. Trzeba mieć taką świadomość. Również: egzystencji w dwóch różnych rzeczywistościach, mianowicie realnej oraz wirtualnej, które jednak nie są całkiem odrębne. To środowiskowa hybryda, z dalekim od naturalności obszarem technologicznym. Nad którym trzeba panować, bo jest niebezpieczny. Już teraz, a podobno będzie jeszcze gorzej, jeśli wierzyć w Prawo Moore'a sugerujące, że ilość tranzystorów podwaja się co dwa lata. Ode mnie: wolne żarty – kto to i jak obliczył? Moje własne, nie gorsze, prawo jest takie, że liczba much w bibliotecznych magazynach redukuje się proporcjonalnie do redukcji magazynów.

W książce napisano, żeby imać się przede wszystkim takiej pracy, która dostarczy także nowej wiedzy – na przyszłość. Tego często nie widać na pierwszy rzut oka, toteż trzeba szukać w trybie pogłębionym i w żadnym wypadku nie przeoczyć szansy, bo takich w nadmiarze nie ma. Ciekawostka: rozdział na ten temat przywołuje motto z wiersza **Wisławy Szymborskiej** *Nic dwa razy się nie zdarza* – w angielskim przekładzie. Trafne.

Odwrotną stronę zawodowej kariery wyznaczają niepowodzenia, które zdarzają się zawsze, ale nie muszą być górą. Z autorskich wypowiedzi wynika, że trzeba je sobie uświadomić, spisać i wmontować w wykres indywidualnego rozwoju. Żeby oderwać się od nich, uniezależnić oraz przemyśleć różne sposoby reagowania.

Przy postawie biernej powstaje coś na podobieństwo negatywnej spirali reakcji. Dominuje bezradność i stałe pogorszenie sytuacji oraz nastroju. Można też (inaczej) przyjąć postawę neutralną: trwać bez poszukiwania rozwiązań pożytecznych, zatem bez sukcesów, ale też bez postępującej autodestrukcji. Jednak najlepiej przełamać inercję i podjąć aktywnie poszukiwania rozwiązań lepszych – prospektywnych. Niby racja, ale i tutaj, i w książce brzmi to bardzo drętwo.

Rzecz jasna to pracodawcy określają warunki zatrudnienia i funkcjonowania, trzeba je zatem rozpoznać, przeanalizować, zrozumieć i wykorzystać, dla pożytku obu stron. Autorzy twierdzą, że to da się zrobić przez sieć, byle tylko skupić się na istocie wskazanych tam zadań do wykonania i potraktować ją kreatywnie. A następnie stworzyć zarys produktywnej autoprezentacji, eksponując zwłaszcza to, co ma się przydatnego w związku z tym do zaferowania.

Podjęcie pracy to ważny krok, niekoniecznie jednorazowy, natomiast dobrze, jeżeli za każdym razem w jakiś sposób rozwojowy. Dlatego wymaga możliwie szerokiego rozeznania, intuicji oraz spokojnej analizy. Trzeba sporo pytać, a dopiero potem formułować własne wnioski. Korzystne dla siebie – co zresztą nie znaczy, że przeciw innym.

Nawet odwrotnie: dobrze byłoby odszukać inne osoby o podobnych zamierzeniach i pofunkcjonować razem, w takim stopniu i tak długo, jak to jest możliwe. W książce pojawiają się opinie, że bywa w tym pomocna informacja sieciowa, ale sporo w tej sugestii legendziarstwa, nie ma natomiast konkretów. W praktyce nic nie jest takie proste.

Ta monografia w sposób jednoznaczny lansuje koncepcję pracownika kreatywnego: doinformowanego, umiejącego co trzeba oraz rozwijającego się nieustannie. Dla dobra własnego, dla pożytku pracodawcy i dla wartości ogólnych. Podstawę stanowi opanowanie wiedzy, umiejętności oraz nabranie wprawy. Nie tylko w oparciu o przejęte treści, lecz także odczucia i przemyślenia, z czym przekazy automatyczne nie mają nic wspólnego.

Nie jest to książka bezbłędna. Obok sugestii nowych i produktywnych, przywołuje również dyrektywy odległe w czasie, być może częściowo już przestarzałe. Ale zwraca uwagę już nawet swoją formą: monografii drukowanej o charakterze poradnikowym. Inicjatorzy założyli najwidoczniej, że w tej postaci zdoła spełnić swoje powinności w stopniu przynajmniej dostatecznym. I jest to wysoce prawdopodobne.

Nadesłano: 28 kwietnia 2018.